

Łukasz Gadzała Ameryka, eksperyment niedokończony

1. W 1871 roku Walt Whitman wydał niewielką książeczkę zatytułowaną *Demokratyczne perspektywy*. Whitman, znany u nas raczej jako poeta aniżeli pisarz polityczny, argumentował, że amerykańska demokracja znalazła się w głębokim kryzysie. Zakończona kilka lat wcześniej wojna secesyjna rozerwała kraj na dwie części, a ich sklejanie było zajęciem żmudnym i, jak miało się okazać, przerastającym siły jednego pokolenia. Zdaniem Whitmana zasadniczym problemem było jednak nie to, co się wydarzyło, lecz to, czego w dalszym ciągu brakowało: głębszego zakorzenienia amerykańskiej demokracji, oparcia jej na filarach i autorytetach wspólnych wszystkim obywatelom, a przede wszystkim przełożenia wspólnych doświadczeń na język amerykańskiej kultury.

Whitman pisał nie po to, by krytykować amerykańską demokrację. Przeciwnie: był z niej dumny i bronił jej przed tymi, którzy w systemie demokratycznym widzieli więcej zagrożeń niż możliwości. Dobrze się stało – argumentował – że w ciągu niemal stu lat istnienia to właśnie **demokracja**, a nie ustroj arystokratyczny lub **monarchiczny**, zyskała w Ameryce trwale podstawy instytucjonalne. Optymistycznie i proroczo przewidywał, że czeka ją wielka przyszłość – przyszłość globalnej dominacji.

Whitman sądził jednak, że warunkiem *sine qua non*, bez którego amerykańska demokracja nie osiągnie prawdziwej wielkości, jest wypracowanie czegoś, co nazywał „wspólnym szkieletem”, ideą, która stapia wszystkie partykularyzmy w jedno i z tego połączenia czerpie swoją siłę. Celem było powołanie społeczeństwa złożonego z równych sobie obywateli, którzy ze swojej wolności korzystają, mając na uwadze dobro wspólne i wyższe, duchowe idee, a nie wyłącznie własny dobrobyt materialny; którzy budują swoją tożsamość na swoiście amerykańskich wartościach, sztuce i literaturze – na amerykańskiej kulturze. W tanim politykierstwie, a także w tendencji do przedkładania tego, co materialne nad to, co nieuchwytnie, i tego, co indywidualne nad to, co wspólne, Whitman **widział** największe zagrożenia dla amerykańskiej demokracji.

2. *Demokratyczne perspektywy* to zapis rozczarowania latami po wojnie secesyjnej, w których Whitman dostrzegał jeszcze więcej podziałów politycznych i pędu ku zdobyciom materialnym, oraz jeszcze mniej zainteresowania dobrem wspólnym i szeroko pojętą kulturą, niż miało to miejsce przed wojną. Na swój sposób była to jednak optymistyczna próba, wpisująca się w długą (już wówczas!) tradycję myślenia o Ameryce i amerykańskiej demokracji (Whitman uważał te pojęcia za tożsa-

me i używał ich wymiennie) jako o „niedokończonym eksperymencie”.

Republika, którą przedstawiciele trzynastu kolonii proklamowali w 1776 roku, w istocie stanowiła wielki społeczny eksperyment: władza pochodziła od wolnych obywateli, a nie z boskiego lub monarszego nadania, i to właśnie wolni obywatele spośród siebie wybierali władzę, która w ich imieniu decydowała o sprawach państwa. Ten eksperyment społeczny od samego początku doprawiono jednak – jak chciał Jefferson – „naturalną arystokracją”, klasą polityków, urzędników i myślicieli, obdarzonych większym talentem do prowadzenia spraw publicznych niż ich współobywatele. Zdaniem ojców założycieli to właśnie ten model rządów, w którym stapiały się elementy starego i nowego porządku, miał być doskonalony przez następne pokolenia.

W naturę tego systemu były zatem wpisane z jednej strony niedoskonałość, a z drugiej – obietnica w zasadzie nieograniczonego postępu. Obie te cechy wyznaczały dalszy rytm działania: od samego początku istnienia republiki szło nie tylko o to, jak pielęgnować nowy ustroj, ale i o to, jak go poprawiać, jak godzić jego sprzeczności i jak sprawiać, żeby nie osunął się w kierunku tyranii.

Tę dynamikę doskonale rozpoznał Alexis de Tocqueville, który w 1831 roku spędził dziewięć miesięcy w Ameryce i zobaczył w jej systemie społeczno-politycznym przyszłość Starego Świata. Tocqueville zwracał uwagę, że ludzie w Ameryce są równi, to znaczy, że odrzucają hierarchiczny podział na arystokrację i klasy niższe, oraz, że są wolni, to znaczy, że korzystają z prawa do stowarzyszania się i zaangażowania w działalność publiczną. Sądził, że republika oparta na równości i wolności może trwać bez większych wstrząsów, ale tylko jeśli wartości te będą ukorzeniane w tradycjach i obyczajach, a przede wszystkim w etosie religijnym.

Zdaniem Tocqueville'a wpisanie idei wolności w takie ramy nie stanowiło sprzeczności. Rozpoznanie ograniczeń, jakie stawiały przed człowiekiem tradycja oraz religia, i umiejętność działania z uwzględnieniem ich wrażliwości, stanowiło wręcz najbardziej wartościowy przejaw korzystania z wolności. Tocqueville rozumiał wolność podobnie jak starożytni: nie było to prawo do robienia tego, na co ma się ochotę, tylko do zaangażowania w sprawy publiczne i do wybierania tego, co dobre i szlachetne.

Podczas swojej amerykańskiej wyprawy Tocqueville był pod wrażeniem tego, jak ludzie korzystają z wolności: podziwiał lokalne stowarzyszenia i zgromadzenia, doceniał zainteresowanie klasy średniej dobrem wspólnym. Jednocześnie rozpoznawał, że w samej idei demokracji tkwi ryzyko, iż wolni obywatele będą chcieli

korzystać ze swojej wolności w zgoła inny sposób. Im bardziej się bogacili, im bardziej poszerzali terytorium swojego kraju, tym większe istniało ryzyko, że będą coraz bardziej izolować się od siebie nawzajem. To mogło łatwo prowadzić do społecznej atomizacji, a w konsekwencji do uwiąznięcia struktur społeczeństwa obywatelskiego. Tocqueville był przekonany, że jeśli obywatele państwa demokratycznego wybraliby taki model funkcjonowania, to w dłuższej perspektywie uszczupliliby swoją wolność. W społeczeństwie, które jest tylko zbiorem jednostek, łatwiej bowiem o zwrot ku tyranii, gdyż silny i zdeterminowany przywódca nie napotyka większego oporu społecznego, jeśli chce rozprawić się z instytucjami demokratycznymi. To, jak ludzie korzystali z wolności w życiu codziennym, ostatecznie przekładało się więc na to, w jakim ustroju żyli. Wybór miał znaczenie. Tak sądził Tocqueville i to chyba miał też na myśli Benjamin Franklin, kiedy zapytany przez pewną kobietę po obradach konwencji konstytucyjnej w 1787 roku o to, czym teraz będzie Ameryka, miał odpowiedzieć: republiką, jeśli będziecie potrafili ją utrzymać.

Cztery dekady po tym, jak Tocqueville opisał mechanizmy funkcjonowania młodej republiki, Whitman miał dojmujące wrażenie, że spełniły się niektóre obawy francuskiego myśliciela. Sądził przede wszystkim, że amerykańskie instytucje polityczne zdecydowanie wyprzedziły w rozwoju kondycję kulturalną, moralną i estetyczną narodu, a i tak nie przedstawiały sobą zbyt optymistycznego obrazu. Ciągłość instytucjonalna, której nie przerwała wojna secesyjna, stanowiła pewien pozytywny punkt zaczepienia, ale Whitman dostrzegał, że polityką federalną w coraz większym stopniu rządzą kliki, panoszy się korupcja, a dobro wspólne regularnie ustępuje przed interesem pazernych jednostek.

Przede wszystkim uważał jednak, że Ameryka jako eksperyment republikański to w dalszym ciągu projekt niedokończony: że słabości na poziomie klasy politycznej wyrastały ze słabości samych obywateli, u których obserwował coraz większą skłonność do myślenia partyjnego i coraz słabsze przygotowanie do twórczego, niezależnego myślenia. Krytykował też ich brak zainteresowania sprawami pozamaterialnymi i sądził, że jeśli Amerykanie nie wypracują własnych tradycji literackich, poetyckich i filozoficznych (z których wyrastałyby określone wartości), to w dłuższej perspektywie ich demokracja nie osiągnie formy, którą przewidzieli dla niej ojcowie założyciele. Zdaniem Whitmana było to tym bardziej istotne w sytuacji, kiedy kraj cały czas się powiększał, a różnice kulturowe między jego poszczególnymi częściami i zamieszkującymi je ludźmi z czasem mogły się rozchodzić. W tym sensie Whitman szedł dużo dalej niż Tocqueville, ale w gruncie rzeczy ich obawy spro-

wadzały się do tego samego: amerykański eksperyment może coraz bardziej oddalać się od wyśnionego ideału, a nawet znaleźć się w punkcie, w którym demokratyczny sztafaż cały czas będzie podtrzymywany przy życiu, lecz będzie on w coraz mniejszym stopniu wypełniony wspólną treścią i głębszym znaczeniem.

Pod jednym względem Whitman okazał się nadmiernym pesymistą. W kolejnych dekadach Amerykanie potrafili wypracować coś, co można nazwać własnym etosem narodowym i własną tradycją patriotyczną. Naród doczekał się własnej literatury i sztuki zakorzenionej w typowo amerykańskich doświadczeniach kapitalizmu, wielkich przestrzeni i stosunków rasowych. Doczekał się również własnej, z ducha demokratycznej, filozofii pragmatyzmu. Na przestrzeni lat Amerykanie zasymilowali też miliony migrantów z najróżniejszych części świata, a eksperyment ten powiódł się do tego stopnia, że Ronald Reagan w ostatnim wystąpieniu swojej prezydentury mógł niebezzasadnie przekonywać, że każdy może zamieszkać w Niemczech, Turcji albo Japonii, ale nigdy nie stanie się Niemcem, Turkiem albo Japończykiem, a jednak każdy może przyjechać do Ameryki i stać się Amerykaninem. W tym jednym stwierdzeniu zawierało się całe spektrum zmian społeczno-kulturowych, które Stany Zjednoczone przeszły od czasu, kiedy Whitman pisał *Demokratyczne perspektywy*, do czasu, gdy znalazły się u szczytu swojej globalnej potęgi.

Whitman nie mylił się jednak co do aspektu politycznego. To prawda, że mimo różnych wstrząsów, instytucje federalne pozostawały solidnie umocowane, a w ramach istniejącego porządku stopniowo poszerzane były wolności kolejnych grup rasowych i społecznych. Na przestrzeni lat – a szczególnie problematyczne stało się to od drugiej połowy XX wieku – sfera polityczna stopniowo odrywała się jednak od doświadczenia „zwykłych obywateli”, w coraz większym stopniu stawała się zakładniczką różnych grup interesów i w coraz mniejszym stopniu przypominała demokrację w rozumieniu Tocqueville’a. Przyczyny tego stanu rzeczy były zarówno wewnątrzamerykańskie, jak i zewnętrzne, związane ze zmieniającą się rolą Ameryki na świecie.

3. Mniej więcej do czasu pierwszej wojny światowej wszystkie zmiany wewnątrz społeczeństwa amerykańskiego dokonywały się w warunkach względnej izolacji od reszty świata. Dopóki na początku XX wieku Stany Zjednoczone nie osiągnęły statusu równorzędnego Wielkiej Brytanii, obywatele amerykańscy nie byli zainteresowani eksportowaniem swojego republikańskiego eksperymentu za ocean, a jedynie rozszerzaniem go na swoim kontynencie. Amerykańscy politycy pozostawali zaś wierni słowom Johna Quincy Adamsa, który prze-

strzegą przed pokusą wypraw poza granice Ameryki, by zwalczać zagraniczne „potwory”.

Adams był zdania, że jakkolwiek Ameryka powinna popierać dążenie innych narodów do wolności, tak nie może sobie pozwolić na bezpośrednie zaangażowanie po ich stronie. *Gdyby raz zaciągnęła się pod sztandary inne niż jej własne, nawet jeśli byłyby to sztandary obcej Niepodległości, wplątałyby się [...] w te wszystkie wojny interesów i intrygi indywidualnej chciwości, zazdrości i ambicji, które przybierają barwy i uzurpują sobie sztandar wolności [...] Mogłaby stać się dyktatorką świata, lecz nie będzie już władczynią swojego ducha.* Adamsowi nie chodziło jedynie o niedogodności związane z zawieraniem zamorskich sojuszy, co przecież odradzał już swoim rodakom prezydent Waszyngton. Chodziło o to, że w swojej ekstremalnej formie takie zaangażowanie miało niechybnie prowadzić do psucia samej republiki.

Historia potoczyła się tak, że w połowie XX wieku Stany Zjednoczone zostały zmuszone do globalnego zaangażowania, do którego wcale nie były przekonane ani być może przygotowane. Kiedy jednak pokonały hitlerowskie Niemcy oraz cesarską Japonię i wyrosły na największą potęgę wojskową w historii świata, stały się entuzjastycznym twórcą i zarazem gwarantem nowego porządku. Jego kamieniem węgielnym stało się przekonanie, że trwały pokój będzie możliwy, jeśli idee założycielskie amerykańskiej demokracji staną się globalnie akceptowane i stosowane.

I rzeczywiście w czasie zimnej wojny, a potem w latach niekwestionowanej hegemonii Waszyngtonu okazało się, że niedokończony amerykański eksperyment da się z lepszym lub gorszym skutkiem przeszczepić nawet do krajów do niedawna totalitarnych. Wiele krajów chciało partycypować w świecie stworzonym przez Amerykanów, bo przynosiło im to liczne korzyści – nie tylko handlowe, ale też kulturowe. W dodatku w warunkach dwubiegunowej rywalizacji ze Związkiem Radzieckim „sztandary obcej niepodległości” najczęściej nie ciążyły Ameryce aż tak mocno, jak obawiał się tego prezydent Adams.

Z czasem okazało się jednak, że sukcesem łatwo się zachłysnąć, a pokusa demokratycznego i uniwersalistycznego prozelityzmu wśród amerykańskiej klasy politycznej jest zdecydowanie większa niż jej zdolność do samoograniczenia. Ostatecznie rację miał Adams: republice, która swoją rolę na świecie traktuje nazbyt misyjnie, grozi osobliwe odwrócenie priorytetów – staje się gotowa przehandlować władztwo nad samą sobą w zamian za obietnicę globalnej dominacji.

Najbardziej wnikliwie (i wyprzedzając swoje czasy, bo pisał w połowie lat pięćdziesiątych) przed tą pokusą

przestrzegął angielski pisarz Graham Greene. Akcja jego *Spokojnego Amerykanina* rozgrywa się w Sajgonie, kiedy to jeszcze Francuzi – a nie Amerykanie – walczyli o utrzymanie Indochin.

Młody, ledwie trzydziestoletni Alden Pyle przybywa do Wietnamu. Oficjalnie jako pracownik amerykańskiej misji gospodarczej, nieoficjalnie – jako agent amerykańskich służb. Pyle nie zna Azji i nie zna lokalnych warunków. Wierzy we własną sprawczość i w sprawczość mocarstwa, które stoi za nim, mimo że jego rzeczywista wiedza na temat miejsca, do którego został wysłany, jest tylko teoretyczna, znajomość realiów znikoma, a pokora wydaje mu się całkowicie nie na miejscu. Głowę ma wypełnioną książkami, których głównym przesłaniem jest to, że dla krajów Trzeciego Świata optymalnym rozwiązaniem jest nie komunizm i nie kolonializm, tylko bliżej nieokreślona trzecia siła. W domyśle chodzi o lokalnych nacjonalistów, zwalczających zarówno Francuzów, jak i komunistów.

Pyle jest uosobieniem naiwnego amerykańskiego idealisty, który wyrusza na podbój świata. Chce ocalić go od szkodliwych wpływów komunizmu, a jednocześnie nie narzucać odległym narodom zależności kolonialnej tak, jak robiły to europejskie mocarstwa. W tym zapamiętaniu nie zauważa jednak, że powtarza błędy swoich europejskich poprzedników. Lokalnych mieszkańców traktuje z wyższością, interesuje się ich losem tylko w takim zakresie, w jakim może to służyć interesowi Ameryki, a jego jedynym celem jest oddziaływanie na miejscowy układ sił bez konieczności długofalowego zaangażowania. Różnica jest tylko taka, że robi to z dużo większym zapałem i gorliwością, niż cynicy i zblazowani europejcy koloniści.

Przewodnikiem Pyle’a po Sajgonie jest doświadczony brytyjski dziennikarz, Thomas Fowler, którego Greene czyni uosobieniem tegoż właśnie starego, odchodzącego w przeszłość porządku. Fowler patrzy nie tylko z dystansem na działania Pyle’a, ale też rozpoznaje, że są one niebezpieczne. Naiwność młodego Amerykanina nie pozwala mu bowiem dostrzec, że siły, które popiera nie cieszą się wielką popularnością w samym Wietnamie, a przede wszystkim, że jego zaangażowanie doprowadzi do tragedii – ataku bombowego, w którym zginie wielu cywilów. Pyle ostatecznie ponosi konsekwencje swoich czynów, ale sam nie bierze na siebie odpowiedzialności za ich popełnienie. Do końca pozostaje przekonany o zasadności swoich wyborów i sądzi, że skutki nie unieważniają słuszności idei, na których oparte jest globalne zaangażowanie jego kraju i jego samego.

Jest zaskakujące, z jaką precyzją Greene przewidział nie tylko to, jak kolejne amerykańskie administracje będą działały tam, gdzie jeszcze nie dotarły idee zachod-

niej wolności i równości, ale też, jak będą tłumaczyły sobie swoje zaangażowanie. W latach siedemdziesiątych Amerykanie przyjęli do wiadomości porażkę w Wietnamie, a nawet pojawiał się wśród nich cień zwątpienia, że być może sama wyprawa przeciw zamorskim „potworom” była błędem. Ostatecznie jednak zwyciężyło przekonanie, że idee, które napędzały to przedsięwzięcie, były z gruntu słuszne i szlachetne, a popełnione błędy były jedynie techniczne i operacyjne.

Greene widział w takim podejściu zagrożenie dla amerykańskiej demokracji. Poprzez postać Pyle’a pragnął pokazać, że demokratyczne cnoty, które stanowiły istotę amerykańskiego niedokończonego eksperymentu – idealizm, wiara w uniwersalną równość i wolność obywatelską czy też przekonanie o możliwości nieograniczonego postępu – w polityce zagranicznej mogły stać się poważnym obciążeniem. Stanowiły wręcz źródło naiwnych i z gruntu fałszywych wyobrażeń o świecie (zwłaszcza świecie niezachodnim), a to prowadziło do kosztownych klęsk. Płacili za nie nie tylko Amerykańscy podatnicy, ale też sama Ameryka jako eksperyment polityczny – posługiwanie się szlachetnymi wartościami do uzasadniania fatalnej w skutkach polityki zagranicznej stopniowo przyczyniało się do osłabiania samego rdzenia republiki, a ostatecznie doprowadziło do zakwestionowania jej założycielskich idei.

O ile po klęsce wietnamskiej Ameryce w dużej mierze udało się uniknąć tego scenariusza, o tyle zmęczenie „wiecznym wojnami” na Bliskim Wschodzie przelało czarę goryczy i popchnęło kraj w kierunku, którego tak bardzo obawiali się Tocqueville oraz Whitman, a przed którym przestrzegali Greene.

4. Dziś, po 250 latach istnienia amerykańskiej republiki, pozostaje ona eksperymentem niedokończonym. Nie ma w sobie opanowania i stateczności, które zalecał jej John Quincy Adams. Brakuje jej witalności i wiary w swoje możliwości, które dostrzegał w niej Tocqueville. Nie stała się też godną naśladowania „republika ducha”, którą chciał zobaczyć w niej Whitman.

Poczucie klęski i rozczarowanie polityką liberalnie zorientowanych elit doprowadziło raczej do częściowego zaniku wiary w klasyczne idee i wartości amerykańskiej republiki. Po raz pierwszy w jej historii wykształciła się klasa polityczna, która jest zdania, że eksperyment się nie powiódł i że niedokończony projekt oparty na oświeceniowych wartościach wolności i równości nie ma szans na urzeczywistnienie. Proponuje ona rewolucję, bo sądzi, że tylko gwałtowne zerwanie z tym, co było, może przynieść pożądaną zmianę. Wykorzystuje narastającą już od lat (a zatem pierwotną wobec niej) oligarchizację i centralizację życia publicznego do tworzenia nowych hierarchii i promowania rozwiązań

systemowych będących przeciwieństwem ideału toqueville’owskiego. Odpowiedzi szuka w ideach narodowej wyjątkowości, politycznym mesjanizmie czy teologicznym uzasadnieniu polityk nacjonalistycznych, a na opór reaguje przemocą i frustracją.

W tej formie Ameryka nie stanowi ani awangardowego laboratorium ustrojowego, jakim była w XIX wieku, ani nie jest magnesem przyciągającym inne państwa mocą swojego przykładu, czego świadkami w różnych częściach świata były pokolenia drugiej połowy XX wieku. W nowych warunkach geopolitycznych i wobec zmieniającej się struktury etnicznej samego kraju ponownie poszukuje swojej tożsamości i w tym sensie – być może wbrew intencjom rządzącej klasy politycznej – pozostaje eksperymentem niedokończonym. ■